

**Profesor Danuta Huebner  
Przewodnicząca Komisji Rozwoju Regionalnego  
Parlamentu Europejskiego**

**"Tydzień Kobiet Sukcesu"**

**Szkoła Główna Handlowa  
Warszawa, 12.03. 2010**

**Sukces kobiet: prywatne osiągnięcie czy dobro publiczne?**

Dzień Dobry Państwu, a szczególnie dzień dobry Paniom!

Bardzo się cieszę, że mogę tu dziś być z Państwem. Powrót do swojej Alma Mater jest zawsze dniem wyjątkowym. W ciągu ostatnich 5 lat, gdy pełniłam funkcję Komisarza Unii Europejskiej ds. polityki regionalnej byłam tu kilkakrotnie, m.in. towarzysząc przewodniczącemu Komisji Jose Manuelowi Barroso, gdy odbierał zaszczytny tytuł doktora honoris causa naszej uczelni. Nie ukrywam, że przekroczenie progów Szkoły Głównej Handlowej, odwiedzenie auli, w której teraz się znajdujemy, jest dla mnie zawsze pewnym doświadczeniem sentymentalnym. I tak pewnie będzie już zawsze, – bo mam nadzieję, że będę tu gościć jeszcze nie raz. Jeżeli nie będzie po temu żadnej oficjalnej okazji, to na pewno zawsze znajdę jakiś pretekst, żeby tu wejść, popatrzeć na miejsca, które tak dobrze znam i spotkać się z kolejnymi rocznikami studentek i studentów. Bardzo serdecznie chciałabym w tym miejscu podziękować tym, którzy sprawili, że mogłam się tu dziś znaleźć, a więc Zrzeszeniu Studentów Polskich i wszystkim, którzy współorganizują Tydzień Kobiet Sukcesu jako forum spotkania kobiet i wymiany doświadczeń. Dziękuję też wszystkim obecnym tu kobietom, studentkom SGH, a także innym uczelni. Wiem, że są tu także studentki Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Politechniki Warszawskiej oraz Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, a więc przyszłe kobiety sukcesu. Jak wiadomo jedną z cech kobiet sukcesu jest to, że zawsze mają mało czasu. I jako osoba, która również zmaga się z tym, że doba ma tylko 24 godziny, uważam, że nie powinnyśmy go trwonić bezużytecznie. Tak, więc to, że przyszłe kobiety sukcesu są na tej sali i chcą poświęcić jakąś część swego cennego czasu na to spotkanie oznacza, że problemy poruszane dziś tutaj i w trakcie całego tygodnia mają dla nich znaczenie i niosą jakąś wartość, która zaprocentuje w przyszłości. Cieszę się więc, że mogę wnieść tu swój skromny wkład.

Odwiedzanie swojej uczelni to pewien rytuał dla jej bardziej lub mniej znanych absolwentów. Jest to, jak wspomniałam, przeżycie sentymentalne, powrót do okresu młodości, czasami 'górną i chmurną', pełną ideałów, a czasami tylko wypełnionej zabawą i wspomnieniami towarzyskich spotkań.

Gdy Maria Curie-Słodowska i jej pokolenie kobiet, podejmowały, kosztem wielu wyrzeczeń, wyzwanie pracy naukowej, nie istniało pojęcie sukcesu, tak jak go rozumiemy obecnie. Kobiety mojego pokolenia, które kontynuowały to wyzwanie przed 1989 rokiem, również, jak myślę, nie dążyły głównie do sukcesu. Ich motywacje bywały różne: albo umiłowanie jakiejś dziedziny nauki, albo wejście w świat akademicki, jako swoiste okno na świat, jako możliwość kontaktu z mitycznym wtedy „Zachodem”. Ale, jak przypuszczam, bardzo niewiele z nich postrzegało studia jako otwarcie drogi do sukcesu. Gdy ja rozpoczynałam studia na tej uczelni, bardzo niewiele osób, a praktycznie chyba nawet nikt, nie był na tyle odważny, aby przewidzieć, że upadek ówczesnego ustroju i szybka transformacja ustrojowa nastąpi jeszcze za naszego życia. W systemie, w którym żyliśmy wtedy pojęcie sukcesu, jeśli istniało, było bardzo niejasne, niedookreślone. Nie byliśmy sobie wtedy w stanie wyobrazić, że w ciągu kilkunastu lat otworzy się przed nami nieprawdopodobna gama możliwości, że świat, który znałyśmy, stanie faktycznie na głowie, że wiele absolwentek tej uczelni będzie, wespół ze swoimi kolegami, nakreślało i realizowało w praktyce wielką przebudowę ekonomiczną, społeczną i kulturową w naszym kraju i powrót do Europy. Choć oczywiście, mimo całego nieprawdopodobieństwa tego wydarzenia, byłoby półprawdą, gdybym powiedziała, że był to jedynie nieoczekiwany dar od losu. Jak to się zdarza wielu przypadkach, szczęściu nie zaszkodzi pomoc. Nasza uczelnia, ówczesnie zwana Szkołą Główną Planowania i Statystyki był świetnym instrumentem tej pomocy. Ja i moje koleżanki i koledzy mogliśmy się tu nauczyć nie tylko języków obcych, które ułatwiały nam, w oczywisty sposób kontakt ze światem, ale także prawdziwej ekonomii zachodniej, nieskażonej ideologicznie. Można powiedzieć, że był to swoisty paradoks, że w kraju absurdalnej często ekonomii życia codziennego, której symbolem były kartki na cukier i kolejki po mięso, istniała taka enklawa myśli zachodniej, miejsce gdzie o ekonomii można było myśleć normalnie. Tak więc, mogę powiedzieć, że moje pokolenie i pokolenie moich studentów było, jako grupa, w znacznym stopniu przygotowane do wielkich zmian w latach 90-tych. Ale abstrahując od pojęcia grupy i koncentrując się na przypadkach jednostkowych, wiele z nas, szczególnie zapewne kobiet, nie było w stanie przewidzieć jak potoczą się ich losy. Czy moja koleżanka, Henryka Bochniarz mogła się spodziewać, że w niedalekiej perspektywie będzie szefową Związku Pracodawców Polskich, bo przecież, gdy rozpoczynała studia i pracę pracodawca był tylko jeden, i było nim państwo? A czy ja mogłam przypuszczać, że przyjdzie kiedyś taki dzień, gdy Polska stanie się członkiem Unii Europejskiej, a mnie spotka zaszczyt bycia pierwszym polskim komisarzem? Choć szybko zakasałyśmy rękawy naszych nowo nabytych bluzek, chyba nie do końca byłyśmy w stanie sobie wyobrazić, że naprawdę wchodzimy w okres, gdy nasze nawet niewyobrażalne marzenia mogą się spełnić, że istotnie nagle zaczęło się sprawdzać anglosaskie przysłowie, że *‘the sky is the limit’*. Ale nie jestem pewna, że nawet wtedy zaczęłyśmy to nazywać sukcesem. Myślę, że to słowo tak naprawdę zaczęło funkcjonować w szerokich kręgach, również wśród kobiet, dopiero gdzieś w połowie lat 90-tych, gdy zadomowiło się w kulturze popularnej, poprzez wpływ (czego nie należy lekceważyć, jak to robią niektórzy ) kolorowej prasy i telewizji lansujących „modę na sukces”.

Muszę przyznać, że osobiście do chwili obecnej nie czuję się zbyt komfortowo używając tego słowa sama, lub gdy ktoś inny nazywa mnie „kobietą sukcesu”. Zastanawiam się czasem, skąd się bierze ta moja rezerwa? Być może niektórym wyda to się dziwne, ale ja sama poczucie osobistego sukcesu odczuwam w sytuacji

najprostszej: wtedy, gdy uda mi się zrobić coś ciężkiego fizycznie. Wypompować wodę po ulewnym deszczu z piwnicy, przejechać bezpiecznie na nartach zlodowaciałe strome zbocze, to jest mój sukces. Ale poza tymi sytuacjami mniej lub bardziej ekstremalnymi, wiem, że mój sukces nie jest wyłącznie moim sukcesem. Zawsze kryje się za nim praca wielkiej liczby ludzi, i kobiet, i mężczyzn zresztą też. Być może to moje może nietypowe myślenie bierze się stąd, że zawsze funkcjonowałam w dużych grupach, miałam szczęście brać udział w projektach takich choćby jak wprowadzenie Polski do Unii Europejskiej czy OECD, których nie byłaby w stanie unieść jedna osoba. Zawsze musiałam polegać na innych. Można to trochę porównać ze wspinaczką wysokogórską, gdzie nasze bezpieczne przejście górskiego szlaku zależy w dużej mierze od siły innych i naszego zaufania do ich możliwości. Dlatego zawsze sądzę, że moje myślenie to rodzaj realizmu. Ale z drugiej strony, inne kobiety mają czy miały inne doświadczenia. Kobieta, która otwiera jednoosobową firmę prawdopodobnie ma większą skłonność polegania na samej sobie. Dlatego też czasami zadaję sobie pytanie, czy to moje podejście to jest to tylko cecha mojej osobowości, czy też jest to coś więcej? I sądzę, że, niezależnie od naszych doświadczeń zawodowych, jestem jednak w tym podobna do wielu kobiet, które mają tendencję postrzegać to, co robią jako zadanie do wykonania, jako pracę, często ciężką, jako coś, za co nie oczekuje się splendorów. Jeżeli one przychodzą, to kobiety nie traktują ich zazwyczaj jako powodu do spoczęcia na laurach, ale raczej jako bodziec do jeszcze bardziej wytężonej pracy. Z drugiej strony nie mam też poczucia fałszywej skromności. To, że Polska miała przez 5 pierwszych w Unii Europejskiej kobietę jako komisarza, uważam za rzecz ważną i dobrą, zarówno dla wizerunku naszego kraju w Europie, jak też z punktu widzenia tego co się zdarzyło w naszym kraju w tym okresie w sferze naszego "wkomponowywania się" w system instytucjonalny Unii. Uważam, że ze swoim doświadczeniem, byłam właściwą osobą na właściwym miejscu. Decyzję o swojej nominacji na to stanowisko odebrałam, szczerze mówiąc, jako racjonalną, a nie jako coś, co ktoś mi podarował. Wiedziałam, że w Brukseli mogę zrobić rzeczy istotne dla tak przyszłości naszego kraju, jak i Europy. I sądzę, że nie zawiodłam tych nadziei, które we mnie pokładano.

Indira Gandhi, była premier Indii, miała zwyczaj mawiać że : „*istnieją dwa rodzaje ludzi: tacy, którzy pracują, i tacy, którzy przypisują sobie zasługi wynikające z pracy tych pierwszych (i) że lepiej należeć do tych pierwszych, jest mniejsza konkurencja.*” Zabawnie ujęte, ale można zapytać, czy jest to dobre podejście – bo można argumentować, że kobiety, którym tych splendorów przez wiele lat odmawiano mają do nich takie samo prawo jak mężczyźni, a co za tym idzie mają też prawo do korzystania z owoców chwały i uznania, tym bardziej, że często przychodzą one późno. Mogę tu przywołać przykład Włoszki Rity Levi Montalcini, która otrzymała Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny w roku 1986 w wielu lat 77-ciu po wielu latach pionierskich badań. Obecnie ciągle kontynuuje swoje prace, i, jak mówią Amerykanie „*she is still going strong*” w pięknym wieku 101!Czyż nie miałyby już prawa odpocząć? Większość jej kolegów mężczyzn tak zapewne by zrobiła.

Ta moda na sukces, obecna w mediach, wraz z postępem naszej świadomości społecznej i wzrastającej roli kobiet, sprawia, że coraz częściej wyławiane i doceniane są talenty kobiet w różnych dziedzinach. Patrząc okiem socjologicznym na zachodzące procesy, można zauważyć, że o ile np. w sporcie ikoną lat dziewięćdziesiątych był Adam Małysz, to obecnie taką ikoną stają się takie utalentowane kobiety, jak Otylia Jędrzejczak czy Justyna Kowalczyk. Jeżeli ktoś natomiast patrzy na życie kulturalne, np. polski teatr, to o ile w latach 90-tych zachwycaliśmy się Krzysztofem Warlikowskim czy Grzegorzem Jarzyną, to teraz

pałeczkę od nich przejmuje grono utalentowanych reżyserok, jak choćby Maja Kleczewska.

Ta moja skromna analiza nie ma oczywiście za zadanie nic ująć z zasług Adama Małysza, któremu zawsze będę kibicować, czy wspomnianym panom reżyserom, na których spektakle będę czekać. Ale wydaje mi się, że pokazuje ona to, że bycie kobietą staje się coraz bardziej *'trendy'*, i w sporcie i w kulturze. Jest to również zauważalne w naszym życiu gospodarczym – coraz więcej kobiet osiąga sukces tworząc własne firmy, bądź przebijając siłą swojej determinacji tzw. szklany sufit w dużych korporacjach i małych i średnich przedsiębiorstwach. To, co dzieje się w tym zakresie w Polsce, jest odbiciem szerszego, europejskiego trendu.

Wydaje mi się, na podstawie moich własnych obserwacji i eksperckich opracowań, że jedyną dziedziną, która jakby pozostaje w tyle jest nasze życie polityczne. Co powoduje, że tak wiele kobiet odgrywa coraz bardziej znaczącą rolę w tworzeniu naszego dochodu narodowego jako właścicielki czy top menedżerki firm czy ekspertki i analityczki rynku, a tak mało kobiet zajmuje porównywalne pozycje, gdy dochodzi do wyborów koniecznych przy podziale dochodu już wytworzonego? Być może częściową odpowiedzią na to, nie ukrywam, skomplikowane pytanie jest to, o czym mówiłam wcześniej, czyli naturalna skłonność kobiet do ciężkiej i nieogładającej się na przeszkody pracy. Ta skłonność jest instrumentem wyrąbywania swojej ścieżki i zwiększania swoich szans w męskim świecie. Ale ten proces jest bardzo powolny. A ten słynny „szklany sufit”, hamujący drogę awansu kobiet w zhierarchizowanych korporacjach, jest zaporą w gruncie rzeczy bezosobową, ale podatną na stłuczenie przez kobiecą determinację.

Natomiast w polityce nie mamy do czynienia z delikatną materią szklanego sufitu, ale ze znacznie twardszą przeszkodą w postaci zwartej i solidarnej ściany mężczyzn, którzy nie ustępują łatwo przed naciskiem. Ponieważ przeszkoda ma inny charakter, to i zastosowana taktyka powinna być tu inna. Można żartobliwie, ale nie całkiem, powiedzieć, że ile wystarczy jedna kobieta o silnej głowie, aby podskoczyć i rozbić w drobny mak szklany sufit, o tyle wspomniana ściana może być tylko zburzona przez wspólny front kobiet, używając wojskowej metafory, prących do przodu tyralierą.

Co nam ta metafora pokazuje? A no, mianowicie to, że indywidualny sukces nam, kobietom nie wystarczy tam, gdzie decyduje się nasza przyszłość, a więc w salach i korytarzach naszego parlamentu, innych instytucji państwowych i publicznych. Jestem sobie doskonale w stanie wyobrazić, i badania socjologiczne to udowadniają, że 10, 100, a potem 1000 fantastycznych menedżerek i kobiet szefów przedsiębiorstw działających w rozproszeniu jest w stanie w krótkim okresie zmienić jakość i oblicze życia gospodarczego. Gdy się przypatrzeć karierom kobiet, które wybrały tę drogę samorealizacji, to w istocie wypełniają one ideał *„self-made woman”*, która osiąga swój cel nawet bez znaczącego wsparcia z zewnątrz, może za wyjątkiem rodziny, ale i to nie zawsze. W polityce jest inaczej – *„self-made woman”* ma znacznie mniejsze pole do działania, bo na poziomie praktycznym polityka to gra zespołowa. Wszystkie kobiety, które osiągnęły znaczący sukces w polityce, i których wyrazistość (i rzadkość) sprawiała, że mamy tendencję postrzegać je jako właśnie *self-made*, jak choćby Angela Merkel czy Margaret Thatcher, były w istocie wyniesione do władzy przez zdyscyplinowane i dobrze zorganizowane grupy interesów i partie polityczne. Ich sukces był tylko po części ich własną zasługą – na pozostałą część tego sukcesu pracowały m.in. kobiety będące ich elektoratem, które zostały przekonane przez idee, których pani kanclerz czy pani premier były

najlepszym ucieleśnieniem w danym momencie. Jest zresztą swoistym paradoksem, że, pozostając przy tych dwóch reprezentatywnych dla współczesnej polityki europejskiej nazwiskach, ani p. Merkel ani p. Thatcher nie uważały się nigdy za feministki, a mimo to, czy też może dlatego, były wybrane przez elektorat w dużej części składający się z kobiet. Można powiedzieć, że ten typ kobiet-przywódczyń stawiał na swoisty polityczny androginizm, unikając za wszelką cenę podkreślania swojej kobiecości i starając się przekonać do siebie wyborców siłą racjonalnej argumentacji i mocą politycznej woli reprezentowania ich interesów. Gdy zapytano Margaret Thatcher, jak to jest być kobietą i szefem rządu jednocześnie, bez namysłu odpowiedziała „*nic nie wiem na ten temat, bo nie wiem, jak to jest być mężczyzną*”. Ich drogą do przywództwa było objęcie jak największej połaci przestrzeni politycznej – a jednym ze środków temu służących było uznanie własnej płci jako czynnika politycznie neutralnego. To sprawiło, że zarówno kobiety bardziej konserwatywne jak i bardziej liberalne mogły się identyfikować z nimi jako wyrazicielkami swoich interesów.

Rozwój społeczny, który dokonuje się poprzez politykę, procesy polityczne w rządach i parlamentach, a także dzięki istnieniu całego trzeciego sektora organizacji pozarządowych, jest wielkim zbiorowym wysiłkiem. Tworzymy naszą cywilizację krok po kroku, czasami są to drobne kroczyki, a czasami następuje nagłe przyśpieszenie wynikające ze zmian mentalnościowych. Teraz oczywiście to trudno sobie wyobrazić, ale kiedyś naprawdę kobiety nie miały dostępu do podstawowych praw politycznych i ekonomicznych, w tym prawa do głosowania i wolnego dostępu do rynku pracy. Choć to przecież kobiety ponoszą znaczną część tego wysiłku cywilizacyjnego, to one są tym elementem, dzięki którym ta cywilizacja trwa. Co do tego mogą się zgodzić chyba i konserwatyści i liberałowie obydwu płci. Każdy z nich będzie podnosić inne formy tego wpływu cywilizacyjnego; konserwatysta zwróci uwagę na wpływ kobiet na wychowanie nowych pokoleń, a liberał raczej na ich rolę w przekształcaniu zastanych struktur społecznych w kierunku nadania im większej demokratyczności i inkluzywności. I obydwaj (czy obydwie) będą mieć rację. Bo kobiety nie są jednowymiarowe w swoim działaniu, w swoich marzeniach, w postrzeganiu swojej roli społecznej. Najczęściej jest tak, że to, co ładnie dzieli się w teorii na dwie przeciwstawne postawy ideologiczne, w praktyce życia kobiet jest jednością. Bo kobieta, nawet, gdy o tym nie myśli i nie werbalizuje w ten sposób swoich doświadczeń, musi być jednocześnie i konserwatystką i liberałką, aby w ogóle funkcjonować. Gdy wychowuje dzieci, musi konserwować pewne wartości, które przejęła od poprzednich pokoleń, aby jej potomstwo, mówiąc kolokwialnie ‘wyszło na ludzi’, ale jednocześnie musi dzieciom dawać wolność, nauczyć krytycznej postawy wobec zastanego świata, tak, aby mogły samodzielnie zmierzyć się z wyzwaniem przyszłości i aby mogły odkrywać dla siebie nowe szlaki, które nigdy nie będą dokładną kopią, powtórzeniem tego, czego dokonali ich rodzice. Zawsze tak starałam się wychowywać swoje córki – i gdyby je zapytano prawdopodobnie powiedziałyby, że widziały we mnie te obydwie strony; i tę konserwatywną i tę bardziej ‘wolnościową’ naraz.

Wiele się mówi o tzw. specyficznie kobiecych cechach, jak np. empatia. Nie jestem pewna, że jest to cecha wyposażenia genetycznego kobiet, która znacząco odróżniałaby je od mężczyzn. To, że jesteśmy bardziej empatyczne, że potrafimy się wczuwać w różnego rodzaju sytuacje i rozumiemy pewne psychologiczne mechanizmy ludzkich działań, wynika raczej właśnie z tego, że w świecie społecznym gramy dwie role na raz – a więc widzimy więcej, nasz wzrok obejmuje

większą przestrzeń życia społecznego. Z tego punktu widzenia kobiety to bezcenny rozsądek kapitału społecznego.

Bardzo mi się podoba pewne stwierdzenie wybitnego socjologa francuskiego Edgara Morina. Otóż mówi on tak: „Prawdziwy *duch Europy opiera się na analizowaniu problemów, na istnieniu krytycznego i samokrytycznego umysłu... Cała historia myśli europejskiej to historia poszukiwania prawdy. Począwszy od 18-tego wieku, duch Europy objawia się w kobietach, w muzyce i poezji, gdy tymczasem męski świat prowadzi wojny, zajmuje się ekonomią i dąży do zdobycia materialnej władzy. To, co najlepsze w Europie, kryje się w kobietach. To kobiety, zarówno z arystokracji, jak i z burżuazji - prowadzą salony, w których przyjmują poetów, muzyków.” Dalej Morin twierdzi, że nie byłoby muzyki Beethovena, Mozarta i Schumana, ani twórczości wielkich poetów, takich jak Novalis czy Rimbaud bez kobiet. Można rzec, że tak jak mnisi w średniowieczu, kobiety przechowały europejską cywilizację. Owe tak często wyśmiewane salony nie były luksusowymi domami dla lalek, czyli ówczesnych arystokratek, lecz znaczącymi ośrodkami kulturalnymi, promieniującymi na całą Europę. W swoim czasie tworzyły, utrzymywały i chroniły kapitał społeczny dla przyszłych pokoleń Europejczyków. Również my dzisiaj jesteśmy beneficjentami wysiłku tamtych kobiet. Pamiętajmy, że robiły to nie będąc samodzielnyimi podmiotami w życiu rodzinnym, politycznym i ekonomicznym. Ich jedynym orężem była kultura i dobry smak, czasem wspierane finansowo przez pobłażliwego męża-arystokratę. Kobiety tamtych czasów nie cieszyły się tymi formami prawnego uznania podstawowych praw człowieka, tak jak je dziś rozumiemy. Ale to właśnie cywilizacja europejska, w długim i bolesnym procesie posuwania się drobnymi krokami wymyśliła i wcieliła w życie pojęcia podstawowych praw człowieka i logicznie wypływających z nich wartości życia w europejskiej wspólnocie. Najpierw prawami tymi cieszyli się Europejczycy, ale przyszedł i czas, gdy Europejki upomniały się o swoje. Dzięki walce wyśmiewanych często sufrażystek, a potem feministek, ale również dzięki cichemu czasem uporowi zwykłych kobiet, litera prawa jest dla wszystkich ta sama. Choć można powiedzieć, że litera ta sama, ale pisana w różnych miejscach różną czcionką – aby utrzymać się przy tej metaforze drukarskiej.*

Gdy mówimy o naszym kraju, deklarowana równość wobec prawa, równouprawnienie co do obowiązków i szans nie przekłada się na udział kobiet w gremiach decyzyjnych i na rynku pracy. Głęboko w naszych głowach ciągle zakorzenione są stereotypy dotyczące kobiet jako „słabszej płci”. Te indywidualne stereotypy są wspomagane przez fakt, że kobiety rzadko w naszej kulturze funkcjonują w jakiejś sieci powiązań (świadomie nie używam słowa układ!), który byłby dla nich mechanizmem wspierającym w osiąganiu kolejnych szczytów w życiu politycznym, jeśli wybiorą zajęcie polityka. Co prawda były pewne próby organizacji kobiet w tej sferze, takie jak Parlamentarna Grupa Kobiet, czy Partia Kobiet Manuelei Gretkowskiej, ale te i podobne inicjatywy nie przekształciły się niestety w znaczący podmiot polityczny.

Dlatego nie ukrywam, że z radością współuczestniczę w inicjatywie Kongresu Kobiet Polskich. Wydaje mi się, że ta inicjatywa ma realną szansę na zorganizowanie znaczącej siły politycznej i wykorzystanie energii polskich kobiet dla dobra wspólnego. Dzieje się tak dzięki determinacji kobiet takich, jak Magda Środa, ale również tych anonimowych kobiet, często młodych, właśnie studentek, które zbierały z zaangażowaniem podpisy pod projektem ustawy o parytecie, traktując to jako

działanie nie w swoim osobistym interesie, ale dla szeroko pojmowanego dobra publicznego.

W tym wystąpieniu nie jest moim celem nawracanie nikogo na parytet. Zdaję sobie sprawę, że jest grupa kobiet, często wybitnych w polskim życiu publicznym, która zdecydowanie sprzeciwia się parytetom. Szanuję ich stanowisko. Są zwolenniczkami czystej merytokracji. Ale szanując ich punkt widzenia, jednocześnie wiem, że w życiu społecznym nic nie istnieje w stanie czystym. Muszę uczciwie powiedzieć, że do pewnego momentu moje stanowisko było podobne. Miałam w swoim czasie wątpliwości, czy rzeczywiście trzeba wymuszać ustawowo, pod rygorami prawnymi 50, czy 30 procentowy udział kobiet w parlamencie. Bałam się, że kobiety, które dostaną się do Sejmu na zasadzie takiej akcji afirmatywnej będą postrzegane jako ktoś, kto być tam prawdopodobnie nie powinien, a tylko kaprys ustawodawcy je tam wprowadził – mimo, że było tylu bardziej utalentowanych mężczyzn! Ale z drugiej strony, ważąc wszystkie za i przeciw w kontekście polskiej rzeczywistości, nie wiem, czy można cokolwiek zrobić bez zmiany prawnej. Taka zmiana ma tę wartość dodaną, że nie jest sama w sobie autonomiczna w sensie społecznym. Ma ona moc, przez swą konkluzywność, zachęcania do pewnych zachowań, oczywistych na gruncie europejskim i światowym, ale ciągle opornie przyjmowanych u nas. Parytety, czy kwoty, zostały przyjęte w wielu krajach, zazwyczaj z pożytecznymi i dobrymi efektami – choć nie bez trudności. Przekonanie o „włączaniu” kobiet w gremia decyzyjne jest obecnie standardem na świecie. Jak przeczytałam w ostatnim artykule Niki Bochniarz, która uczestniczyła w niedawnym Forum Ekonomicznym w Davos, odbywające się tam *„debaty o zwiększaniu obecności kobiet w polityce, na ważnych stanowiskach w instytucjach gospodarczych, w korporacjach i rozmaitych ciałach decyzyjnych, zajmowały prawie tyle miejsca, ile debaty o sposobach wychodzenia z kryzysu”*. Jak pisze autorka nawet *„Szef Banku Światowego zapowiedział, że od następnej kadencji na wyższych stanowiskach w Banku będzie obowiązywał parytet. Nie dlatego, że jest to modne, ale dlatego, że jest bardziej efektywne.”* Co ciekawe, akurat międzynarodowe instytucje od dawna stosują nieformalny bądź formalny parytet. W środowisku międzynarodowym jest wiedzą powszechnie przyjmowaną, że obecność kobiet na wszystkich szczeblach organizacyjnych, w tym na tym najwyższym, czy to poprzez formalny parytet czy też dobrowolne ustalenia, jest testem na żywotność danej organizacji i na jej zdolność do stawienia czoła wyzwaniom XXI wieku. Nie jest to kwestia nawet sprawiedliwości czy zapłaty za lata dyskryminacji, ale prostego rachunku kosztów i zysków. Organizacja, czy państwo, które nie docenia kobiet i ich wkładu, które nie promuje ich awansu, które nie popiera ich aspiracji, traci nie tylko w oczach innych. Traci przede wszystkim swój własny potencjał. Nie można nie wykorzystywać potencjału i talentu połowy swojej populacji i jednocześnie liczyć na znaczący wzrost gospodarczy i awans do pierwszej ligi globalnych graczy. Wszystkie opracowania dotyczące pobudzania aktywności ekonomicznej w krajach rozwijających się mówią jedno; najprostszym i najszybszym sposobem wejścia na ścieżkę rozwoju jest zapewnienie edukacji młodym kobietom i ich ekonomiczne zaktywizowanie – bo kobiety są tą grupą społeczną, która inicjuje zmiany społeczne i ‘ciągnie’ swoje społeczeństwa w górę.

Parytet czy kwota oczywiście nie załatwi wszystkiego – jest tylko pewnym instrumentem politycznym. Potrzebne jest zbudowanie całej infrastruktury społecznej działającej na rzecz kobiet. Chodzi tu zarówno o usługi podstawowe, jak żłobki czy przedszkola, ale też o równość płac z mężczyznami – wg. danych statystycznych na poziomie europejskim, kobiety w Europie zarabiają średnio 15 procent mniej niż ich

odpowiednik płci przeciwnej. Równie istotne, szczególnie dla kobiet zamierzających założyć własne przedsiębiorstwo, jest dostęp do źródeł finansowania. Patrząc globalnie, jest czymś rażącym, że zaledwie 1 procent własności w świecie jest własnością kobiet. Gdy patrzymy na rynek pracy najemnej, to gołym okiem widać, kobiety są zazwyczaj zgrupowane w sektorach oferujących niższe wynagrodzenia i brak świadczeń socjalnych.

Niezwykle istotne jest też stworzenie kobietom bardziej zaawansowanych możliwości godzenia pracy zawodowej i życia prywatnego. W modelu społecznym, w którym sukces jest uznawany za prywatne osiągnięcie danej kobiety, problem ten pozostawia się do rozwiązania jej samej. W takim anachronicznym modelu, uznaje się za pewną oczywistość, że sukces jest czymś, za co się płaci – na przykład rezygnacją z życia prywatnego. Sukces kobiety jest tu traktowany jako indywidualne przedsięwzięcie nie niosące żadnej wartości dodanej dla społeczeństwa.

Natomiast, gdy traktujemy sukces kobiety nie wyłącznie jako jej prywatny wybór, ale jako dobro publiczne, to nasz punkt widzenia radykalnie się zmienia. Żadna kobieta nie powinna być karana za sukces - bo to właśnie suma indywidualnych sukcesów tworzy sukces całego społeczeństwa. Dlatego kobiety, które chcą być matkami i pracować zawodowo, zasługują na wszelkie możliwe wsparcie ze strony państwa czy też właściwych uregulowań w kontekście partnerstwa publiczno-prywatnego.

Gdybym miała w jednym zdaniu powiedzieć, co jest teraz główną troską Unii Europejskiej, to powiedziałabym, że jest to zaangażowanie w tworzenie polityki świadomego gospodarowania zasobami ludzkimi i środowiskowymi. To jest największe wyzwanie, przed jakim Unia staje obecnie. W rozstrzygnięciu rozlicznych dylematów z tym związanych drogowskazem jest unijny etos społeczny. A jeśli chodzi o zasoby ludzkie, to sprawy kobiet stanowią jeden z najważniejszych priorytetów. Ów wspomniany etos społeczny zakłada rozumienie sukcesu kobiet jako dobra publicznego. Dowodem na to są liczne dyrektywy, programy nakierowane na wsparcie kobiet w ich aspiracjach zawodowych przy zachowaniu ich roli w życiu rodziny. Kilka przykładów, aby tę tezę zilustrować: Komisja Europejska propaguje podejście do rozumienia pracy jako elementu cyklu życiowego. Oznacza to, że polityka zatrudnienia powinna brać pod uwagę zróżnicowane potrzeby zarówno kobiet, jak i mężczyzn w określonym okresie aktywności życiowej. Bo inne są potrzeby i miejsce w strukturze zatrudnienia i sytuacji społecznej młodych kobiet czy mężczyzn wchodzących w życie zawodowe, inne kobiet wychowujących małe dzieci, jeszcze inne kobiet sprawujących opiekę nad starszymi czy niepełnosprawnymi członkami rodziny, a inne kobiet czy mężczyzn bliskich zakończenia swojej kariery zawodowej. Wydawać się to może oczywiste i banalne, ale rzadko które państwo ma wypracowaną strategię, która potrafiłaby stworzyć politykę społeczną biorącą pod uwagę zróżnicowane interesy tych grup. Dlatego w 2006 roku Komisja rozpoczęła na szczeblu wspólnotowym „Konsultację z partnerami społecznymi w sprawie możliwości rozwoju sposobów godzenia życia prywatnego i pracy”. Również w 2006 roku został przyjęty przez przywódców państw i rządów Europejski Pakt na Rzecz Równości Płci, w którym państwa członkowskie zobowiązały się do zatrudniania kobiet i zwalczania dyskryminacji ze względu na płeć, wspierania dążeń do osiągnięcia równowagi między pracą, życiem rodzinnym i prywatnym oraz do realizacji tych postulatów poprzez wprowadzenie właściwych regulacji. W 2007 roku Komisja przyjęła również „Komunikat w sprawie solidarności międzypokoleniowej”. Powołana została także grupa ekspertów do spraw demografii jako platforma

wymiany dobrych praktyk w zakresie polityki rodzinnej w skali europejskiej. Struktury europejskie, w tym Komisja i Parlament przywiązują wielką wagę do zmiany obowiązujących wzorców ról społecznych. Promowanie kobiet i ich aspiracji może się odbyć tylko wspólnymi siłami kobiet i mężczyzn. Społeczeństwo równości- równych praw, obowiązków i szans może być zbudowane tylko z udziałem obu płci. Przykład krajów skandynawskich, a szczególnie Szwecji, pokazuje, że mężczyźni wykazują w takim samym stopniu jak kobiety, instynkt i zdolność do życia rodzinnego na partnerskich warunkach. Nigdzie nie jest przecież powiedziane, że to tylko kobiety muszą opiekować się dziećmi czy starymi rodzicami i że tylko one muszą stawać przed koniecznością wyboru kariery czy rodziny w tych krytycznych momentach cyklu życiowego, jak narodziny dziecka czy starość rodziców.

Gdy patrzę na tę salę, wypełnioną świetnie wykształconymi młodymi kobietami, przed którymi świat staje otworem, to myślę o dwóch rzeczach. Po pierwsze, jestem pewna, że te inicjatywy Unii Europejskiej mające na celu wyrównywanie szans kobiet będą służyły właśnie wam, w waszym cyklu życiowym, od wejścia na rynek pracy, poprzez założenie rodziny, edukację waszych dzieci aż po zasłużony odpoczynek wtedy, gdy zdecydujecie, że chcecie zakończyć waszą karierę zawodową. Bardzo często słyszymy, że Unia produkuje stopy papieru i jakieś dyrektywy o zakrzywieniu bananów – ale wy się przekonacie, że produkuje przede wszystkim światło i służące ludziom, a w tym kobietom, rozwiązania, które mają im po prostu ułatwić życie.

Po drugie, jestem pewna, że tu, w tej sali, jest na pewno co najmniej kilka przyszłych parlamentarzystek, przyszłych euro deputowanych, przyszłych wybitnych naukowców, przedsiębiorców, może też przyszła komisarz Unii Europejskiej? I wcale bym się nie dziwiła, gdyby okazało się za czas jakiś, że mamy tu wśród nas przyszłą Prezydent Rzeczypospolitej.

Niedawno usłyszeliśmy wszyscy z kompetentnych ust, że urząd prezydenta to „prestż i pałac”. Może tak jest, ale uważam, że nikomu by nie zaszkodziło, aby to kobieta właśnie zamieszkała w tym pałacu.

Dziewczynki w dzieciństwie czasami bawią się w gry, w których jedna z nich zdobywa księcia i zamieszkuje z nim w pałacu. Albo jest księżniczką z urodzenia i już w nim mieszka od kołyski. Potem dziewczynki dorastają, a pałac dostaje się w ręce chłopców. Mam wrażenie, że przydałaby się zmiana. Dobrze byłoby, aby nie trzeba było być księżniczką z urodzenia czy zamążpójścia, aby tam zamieszkać. Aby przepustką do pałacu były własne osiągnięcia.

A mówiąc całkiem poważnie, żadna kobieta-polityk, które znam, z różnych krajów i kultur, nigdy nie ubiegała się o najwyższy urząd w swoim państwie dla samego zaszczytu, prestiżu czy pałacu. Z mężczyznami bywa w tym względzie różnie. Kobiety, jeżeli zostaną wybrane, to przyjmują ten niewątpliwie zaszczyt jako zobowiązanie, jako kredyt zaufania, który muszą spłacić.

Gdy nadejdzie taki dzień, gdy to kobieta wprowadzi się do Pałacu Prezydenckiego na Krakowskim Przedmieściu, to na pewno Pałac się zmieni. Ale nie tylko. Zmienimy się wtedy i my, kobiety, bo poczujemy się lepiej w naszym państwie. Zmieni się też nasze społeczeństwo, bo taka symboliczna zmiana pociągnie za sobą inne zmiany, na które czekamy.

Ale poza tym nadal wszyscy będziemy żyć wśród swoich rodzin, spotykać się ze swoimi przyjaciółmi, czytać gazety, chodzić do kina czy na spacer. Bo, jak kiedyś powiedziała Angela Merkel „Okazuje się, że nawet, gdy władzę obejmuje kobieta,

*życie toczy się dalej.*” No właśnie, tego chcemy, i tego wam tu zebrany, i nam wszystkim, życzę.

Dziękuję za uwagę.